Cena pojedynczego numeru 60 gr.

CZASOPISMO ILUSTROWANE

GONTYNA

ORGAN TOWARZYSTWA ARTYSTYCZNO-LITERACKIEGO

NR. 3. SOSNOWIEC, DNIA 15. MAJA 1931 R. ROK I.

CHOCHOŁY...

Mówi Słowacki, że pewni ludzie, idąc przez dzieje, wołali: „Polska, Polska...", a gdy zapomnieli tego wyrazu, krzyczeli: „Ojczyzna, Ojczyzna..." aż Bóg do krzyczących przemówił i zapytał: „Jaka?...".

Nigdy to zagadnienie nie było tak aktualne, jak dzisiaj. Jaka?... Od niego zależy rozwój kultury Polskiej. Jaka?... Czy w cieniach pozostaniemy, czy staniemy w blaskach nowych idących światów.

To zagadnienie staje na drodze Nowej Polski.

Zbliżają się milowemi krokami chwile walki zdecydowanej na śmierć i życie między kulturą Zachodu i nową kulturą Wschodu (jeśli ją tak nazwać można), między starym światem i jego tradycją a nowym eksperymentem ze wszystkiemi jego miazmatami.

Wiemy, że świat naszych wschodnich sąsiadów okrzepł, utrwalił się i marzy: nietylko marzy, ale dąży do wzięcią pod swoją hegemonję całego świata. Walne spotkanie nastąpić musi. Nastąpi ważkie i wielkie jutro. A co my? Jaką w niem rolę odegramy? To pewne, że pod utratą życia nie możemy się dać zaskoczyć wypadkom, lecz musimy wyjść im na spotkanie, a nawet je wyprzedzić. Nie będzie to walka tylko sił militarnych państwa, ale bój społeczeństw całych o nowe formy życia, o nową kulturę...

W walce udział weźmie nietylko rząd i armja, ale całe zorganizowane społeczeństwo, zorganizowane na polu pracy gospodarczej i społecznej. A dzisiaj Polska... Jaka?...

Jakie jest jej życie społeczne?... Spójrzmy na pewne jego objawy.

Świat pracy, jako pierwszorzędny czynnik gospodarczy, rozbity, jak garnek gliniany na cząsteczki i wdeptany w błoto bezwładu.

Pracownicy umysłowi podzieleni na związki państwowych, samorządowych i prywatnych; ci ostatni na różne federacje i konfederacje, a wszyscy murem chińskim odgrodzeni od robotnika, który już nie ufa inteligencji, ani jej nie ceni.

Robotnicy... Pożal się Boże! Gdzie ich organizacje, gdzie ich wodzowie?... Gdzie ta moc, przed którą carowie bledli? Chyba nigdzie na świecie robotnicy nie są tak rozbici, podzieleni, jak w Polsce, na różne obozy, na dziesiątki związków zawodowych o różnych założeniach ideowych, a wszystkie nie mające nic, lub prawie nic wspólnego z dobrem istotnem robotnika.

Przywódcy robotników, niedorośli do ujęcia zagadnień socjalnych w swoje ręce, spadli w opinji publicznej do roli karłów: jedni pozostali bezradni, drudzy haniebnie i bezwstydnie zdradzili interesy robotnicze, a nawet w chwili trudniejszej pierzchnęli z organizacyj robotniczych, jak umykają szczury z tonącego okrętu.

Niektórzy przystąpili do odbudowy organizacyj życia robotniczego, tak bezprzykładnie zrujnowanego. Zobaczymy...

To wielkie rozbicie obozu pracy, jakiego jesteśmy świadkami, tę niemoc drogo robotnik opłaca... Ktoś musi ponieść za to odpowiedzialność, albo musi ożyć wielka i uczciwa organizacja świata pracy, jakiej się domaga duch czasu.

Należy przypomnieć wszem wobec, że Polska, że walki o jej wolność i demokrację naznaczone są stygmatem ogromnego poświęcenia warstw ludowych

i robotniczych. Uświadomienie społeczne i państwowe tych warstw, spotęgowane w czasie rozbiorów, nie zeszło zaborcom z drogi działania historycznego, ale pozostało potencjalnie wielką siłą dziejową, przed którą despotyzm drżał...

Te siły, dzisiaj drzemiące i rozbite, pod karą przekleństwa przyszłości muszą być wciągnięte w orbitę życia i czynu społecznego.

Niewiele lepiej dzieje się w naszych organizacjach przysposobienia wojskowego. I tu nawet widzimy organizacje prawe i lewe, mocarstwowe i niemocarstwowe, stojące na gruncie państwowym i, risum teneatis amici, podobno nieprzychylnie do państwa usposobione.

Różni prezesi, komendanci, naczelnicy obwodowi i nieobwodowi najczęściej skamieniałe pojęcie mają o zadaniach i obowiązkach organizacji, a i dziwić się temu nie można, bo ważne te obowiązki społeczne spełniają często jednostki, stojące na poziomie kwalifikacyj kaprala...

W organizacjach tych prowadzi się najczęściej małomiasteczkową politykę, pielęgnuje kołtuństwo, przewraca w głowie kapralom i sierżantom, i stwarza atmosferę pogoni za karjerą. Nie poświęca się natomiast dostatecznie myśli i pracy przygotowaniu obywatela do obrony granic państwa i jego wychowaniu obywatelskiemu.

O wiele lepiej jest wśród organizacyj kombatanckich. Towarzysze broni znają i pamiętają to wielkie słowo „Polska". Nić żołnierskiego braterstwa spaja ich mocniej, niż sobie to wyobrażają wrogowie.

W dziedzinie oświaty i kultury praca społeczna się wzmaga, choć na tem polu niewielu jest chętnych, bo polityki uprawiać tu nie można; zarobić się tedy na karjerę nie da, a i o medal trudno...

Gdybyśmy ramy przeglądu społecznego rozszerzyli — to wszędzie znajdziemy chaos, brak jednej, wytycznej linji, zaśniedziałe lenistwo i bierność, która zżera charaktery, a nie buduje.

Życie społeczne we wszystkich jego formach rozwija się bez zakreślonego zgóry programu. Stąd błąkanie się po manowcach i anemja jego. Faktem jest znanym powszechnie, iż nawet ci, których okoliczności wysuwają jako świeczniki społeczeństwa, nie znają dróg, jakiemi społeczeństwo prowadzić. Wszyscy natomiast zgodnie, zwyczajem pierwotniaków, gonią chciwie i zazdrośnie za misą.

„Imponderabilia" giną w mrokach... Zapomniany wyraz „Polska" tonie coraz głębiej w niepamięci...

Te drogi prowadzą do Kaczych Dołów, a nie do nowej kultury Polski.

Nie wykuje nowej kultury Polsce brawura poszczególnych grup społecznych, ani zapał, co jak rakieta wybucha i gaśnie, ale charakter zbiorowości, wielka, żywa w zorganizowanych masach ideja życia wolnego i demokratycznego, jej zrozumienie, dla niej entuzjastyczne przywiązanie... redivivus Kościuszko i Okrzeja, uczciwość, sprawiedliwość, poświęcenie.

Po dokonanej rewolucji politycznej, której proces jeszcze nie jest skończony, potrzeba Polsce do życia rewolucji społecznej. Potrzeba Polsce wielkiego człowieka, któryby wzbudził drzemiące siły społeczne. W walce o jutro Polski musi stanąć zwarty front zorganizowanych mas społecznych, oparty o wartości syndykatów warstw ludowych i robotniczych i związki towarzyszy broni.

Albo ktoś wielki wskaże ducha czasu i wzbudzi wśród mas demokratycznych zrozumienie i entuzjazm pracy społecznej dla organizacji nowej kultury Polski, albo Polska nie wytrzyma wyścigu pracy...

Kto chce żyć, musi wytrzymać dzisiejszy rytm życia, pracy i walki...

W życiu naszem społecznem jeszcze sterczą nieruchome chochoły, zapominają zbyt często wielkiego słowa „Polska" i nie słyszą wołania: „Jaka?..."

Br. Górecki.

Satyra o Wyspiańskim.

Wielcy artyści zazwyczaj prócz entuzjastycznych wielbicieli miewają fanatycznych przeciwników. Jest to objaw — rzekłbym — naturalny, gdyż genjalne błyski talentu jednych oświecają i zachwycają, innych znów oślepiają i zaślepiają. Wiadomo powszechnie, jak wyśmiewano Mickiewicza, gdy wydał cz. II. „Dziadów". Ówczesny krytyk L. Osiński sparafrazował refren z „Dziadów".

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było, nic nie będzie.

Sądził, że zabił Mickiewicza — poetę i kiełkujący genjalnemi błyskami romantyzm. Dziś my się śmiejemy z pana Osińskiego, a wielbimy Mickiewicza.

Na przełomie 19. i 20. w. pojawił się potężny talent przedwcześnie zgasłego Wyspiańskiego. I ten poeta, mający genjalne pomysły, miał entuzjastycznych wielbicieli, ale i niemniej namiętnych przeciwników. Do przeciwników jego należał i Sienkiewicz, który zupełnie nie rozumiał Wyspiańskiego i prądów Młodej Polski, oraz jej czołowych przedstawicieli: Wyspiańskiego i Przybyszewskiego. Nic też dziwnego, że, wyszedłszy z teatru krakowskiego po premjerze „Wesela", autor „Trylogji" wyrzekł znamienne słowa: „Albom ja warjat, albo ten, co to napisał". Takich było więcej, szczególnie wśród starszego pokolenia, które nowych prądów nie rozumiało. Stara to jak świat historja: walka młodych ze starymi.

Gdy autor „Wesela" chodził po podwawelskim grodzie w blaskach sławy, która na całą Polskę promieniowała, gdy jego „Warszawianka" wyciskała łzy z oczu widzów, a „Wesele" obudziło ponure refleksje o naszej teraźniejszości i przyszłości — pojawiła się zjadliwa, anonimowa broszura p. t. „Czyściec Słowackiego" w 1904 r., podobno pióra prof. St. Tarnowskiego. Z treścią tej mało znanej broszury, która dziś należy już do antykwarycznych osobliwości, chciałbym czytelników zaznajomić. Przyznać trzeba, że satyra ta, a raczej paszkwil literacki, świetnie ujmuje pewne właściości stylu i języka Wyspiańskiego, w zasadzie jednak jest niesprawiedliwą i krzywdzącą, jak w swoim czasie krytyka „Dziadów" Osińskiego.

Tytuł tej satyry brzmi:

Czyściec Słowackiego
Realistyczno — fantastyczny,
Satyryczno — symboliczny,
Dźwiękowo — kolorystyczny,
Marmurowo — eteryczny,
Pastelowo — monumentalny,
Miniaturowo — kolosalny,
Humorystyczno — tragiczny,
Opisowo — dramatyczny,
Śliczny
Poemat modernistyczny.

To jest tytuł tej satyry — paszkwilu, zawierający same sprzeczności. Następuje „dekoracja" rymowana, jak w „Wyzwoleniu":

W połowie czyśćcowej góry
Są głębokie, ciemne dziury,
A w nich pokutują duchy
Pełne pokory i skruchy,
Nad dziurami wiszą chmury,
Koloryt bardzo ponury,
Czarnych chmur zwój,
Cierpiących dusz rój,
Rzęsistych łez zdrój
Sprawia smutny na—strój.
W jednej z tych dziur siedzi dusza
Słowackiego Juljusza,
Książki leżą dokoła,
Czyta je w pocie czoła,
W pocie czoła je czyta,
Nie złości się, nie zgrzyta
Czyta całemi dniami,
Płacze gorzkiemi łzami,
A kiedy płacz przerywa,
To bardzo głośno ziewa.
Czasem książki odkłada
I sam do siebie gada,
(Bo nie wie, że Ibsen srogi
Na śmierć skazał monologi).

Po tej kapitalnej, ale nader złośliwej dekoracji następuje właściwy dramat, którego osobą główną jest Słowacki, pokutujący w czyśćcu za to, że, jako pierwszy symbolista i nastrojowiec w literaturze polskiej, dał początek modernizmowi Młodej Polski Krakowskiej. Za pokutę musi teraz czytać dramata Wyspiańskiego. Oto początek dramatu — satyry:

Słowacki.
Sam Bóg wie tylko, jak mi było trudno
Do tej pokuty, co mi dał, przywyknąć,
Iść co dnia drogą tych wierszy paskudną,
Przeczytać ich tysiące i nie syknąć!
Lecz wyrok Sprawiedliwości
Trzeba przyjąć w cierpliwości,
Więc czytajmy:
(czyta)
„Żelazce, połamane groty,
Drzewce powbijane do ciał,
Z trupów zapora, z trupów wał,
Rycerski zgotowany stos
Ofiarnica,
Tam leć, tam leć, tam leć"*)

Dalszy ciąg już czyta z cicha,
Ale zato głośniej wzdycha,
(czyta)
„Oto chwila osobliwa,
Chwila dziwnie osobliwa".**)

*) Z „Wesela".
**) Z „Wesela".

(mówi)
Ach, co poezja ckliwa!
(czyta)
„Chwila dziwnie osobliwa".
(mówi)
Co za forma nieszczęśliwa!
(czyta)
„Żona stroi się w alkierzu,
Właśnie dziecka kładła spać,
Bo nie mogą zawsze stać,
Więc się dziecka kładło spać,
Ot tu żona jest w alkierzu".*)
(mówi)
Co mnie do tego, że żona w alkierzu
I że jego dziecka idą spać!
Ale prawda! tam wyżej stało „Włodzimierzu",
Więc alkierz był potrzebnym rymem Włodzimierza,
Lub naodwrót Włodzimierz ma rym do alkierza.
Jakaś to dziwna pisania maniera,
A choć mi serce pęka, śmiech mnie zbiera.
Z boku na pusty przez jamą grunt
Wchodzi Krasiński Zyg—munt.

Po Krasińskim przybywa Mickiewicz i obaj ze Słowackim rozmawiają o „Legjonie", z którego Słowacki odczytuje słowa włożone w usta Mickiewicza, przysięgając, że nigdy czegoś podobnego od Mickiewicza nie słyszał. Przybywają i inni poeci, jak Fredro i Szymonowicz, poczem odchodą, a autor nową ogłosza dekorację:

Tamci znikli — a z boku się skrada
Nowych gości gromada:
Masek dwadzieścia i dwie;
Dlaczego tyle — djabeł wie;
Ale są i na wyścigi
Wyprawiają różne migi.
Kiedy jedna przepada,
Zaraz druga się skrada,
A za nią trzecia kroczy
I wytrzeszcza oczy.

Nagle rowerem nadjeżdża niebieski listonosz i przynosi „dla pana Słowackiego co naj, najnowszego i naj, najpiękniejszego", mianowicie „Wyzwolenie".

Wieszcze się pytają, czyje wyzwolenie z czego i przez kogo, na co maski odpowiadają chórem lub pojedynczo:

Maski.	Wyzwolenie Ze wszystkiego przez jednego.
Maska 1.	Polski z pod obcych rządów,
Maska 2.	Z krępującego patrjotyzmu;
Maska 3.	Myśli i sumień z przesądów
Maska 4.	I z logiki despotyzmu
Maska 5.	Ludzkiego rodu z niedoli
Maska 6.	Wszystkiego z wszelkiej niewoli
Maska 7.	Słowa z pod myśli i treści: Brzmienie wszystko w sobie mieści.
Maska 8.	Wyzwolą się i języki Z pod tyranji gramatyki.
Maska 9.	Sztuka z więzów estetyki,
Maska 10	Malarstwo z więzów rysunku
Maska 11.	Matematyka z rachunku,
Maska 12.	Poezja z przesądu piękności.
Maska 13.	Żadna sztuka, chowaj Boże, Żadnej formy mieć nie może.
Maska 14.	Teraźniejszość z tyranji przeszłości,
Maska 15.	A przyszłość z teraźniejszości,
Maska 16.	Wyzwolenie z pod wszystkich prawideł,
Maska 17.	A zwłaszcza z sensu wędzideł.
Chórem.	To jest prawdziwe objawienie: Wszystkiego z sensu wyzwolenie!

I tak dalej bez ograniczenia,
W tem potęga, w tem szczęście ludzkiego plemienia
Zjawiają się dalej Erynje z „Wyzwolenia“, wołając:
Na żer, na żer, na żer
Mickiewicz pyta: Co żreć chcecie?
Erynje. Co bądź! jak bądź!
Gdzie bądź! Kiedy bądź!
Ale najsmaczniejszy kęs
To sens!
Na żer, na żer, na żer!
Chór Erynij. Sens z mózgów wydzierać!
Ślady jego zacierać,
Z ludzkich głów go wysysać,
W bezsensie się kołysać,
W przestworzu bez granic
Nie zostawić sensu za nic –,
To rozkosz, to triumf, to życie!

W dalszym ciągu Papkin ogłasza Mickiewiczowi, że podług orzeczenia modernistów, przestał już być największym poetą, ale Cześnik przepędza go.

Chór zaś Erinij dalej głosi!
Na wieków przełomie,
W natchnieniu ogromie
On począł genjalnie,
Fenomenalnie,
Piramidalnie
I triumfalnie
Poezji nową erę,
W nadziemską sferę
Uniósł ją, siebie i naród,
W nim jest odrodzenia zaród!

Wreszcie pod koniec tej udręki czyśćcowej Słowackiego zjawia się Anioł i ogłasza twórcy „Króla Ducha“ wyrok Boga:
Dobrą wieść ci zwiastuję:
Pan ci resztę daruje,
Boś był bardzo cierpliwy –
Idź do nieba szczęśliwy!
Przeczytałeś „Wesele“
I innych rzeczy wiele...
A kiedy „Wyzwolenie“
(Najcięższe udręczenie)
Od deski przeczytałeś do deski,
Wtedy Ojciec niebieski
Tak rzekł do nas aniołów:
Leć tam do czyśćca który,
Sprowadź go tu do góry,
Spełnione win zadośćuczynienie,
Skończone już cierpienie:
To jego wyzwolenie!

Z westchnieniem ulgi kończą tę dramatyczną satyrę Mickiewicz i Krasiński, mówiący razem do Słowackiego:
Niechże będzie Panu Bogu chwała,
Że się na coś ta chryja przydała,
I że szczęśliwie, gdy w niebie zasiędziesz,
„Akropolisu“ już czytać nie będziesz.

W taki to sposób zwalczali przeciwnicy Wyspiańskiego. Dziś po upływie 25 lat od tego czasu musimy stwierdzić, że satyra ta, aczkolwiek dowcipna, jest istotnie krzywdząca, bo odmawia Wyspiańskiemu wogóle talentu i zasług. Jest to zatem już nietylko satyra, ale raczej paszkwil literacki, z talentem napisany.

Mimowoli nasuwa się uwaga o dzisiejszych poetach warszawskich, na których byłby potrzebny taki bicz! Bo pewna spółka młodych autorów, nie obdarzona bynajmniej ogromem talentu, utworzyła niedostępne towarzystwo wzajemnej adoracji i wzajemnej autoreklamy, plugawiąc nieraz genjuszów. Ale minie to, jak wszystko, co nie jest prawdziwie wielkiem. Wyspiański ostał się, mimo złośliwych satyr, bo mimo wad swych, ma w sobie wielkość.

Alfred Brodnicki.

Fotomontaż.

W jednym z ostatnich numerów „zasłużonego“ dodatku filmowego równie zasłużonego macierzystego organu współczesnej Abdery polskiej uderza oczy najnowsza zdobycz niemej (gdzie tam!) Muzy — fotomontaż.

Na wesoły ten obrazek składa się kilka par nóżek, jedno murzyńskie oblicze, przebiegający między nóżkami pociąg, jakieś kamienice, policjant i coś, czego niepodobna sobie przypomnieć, ponieważ kojarzenie na mocy związku przyczynowego we współczesnych obrazkach nie znajduje wogóle zastosowania.

Inne czasy!

Jakie są założenia i cel fotomontaży? Zapewne te same, co dawniej tak zwanych żywych obrazów. Tylko że dawniej treścią żywego obrazu była jakaś scena z Ojca zadżumionych czy Nieboskiej Komedji, a dziś sceny z życia wielkiego miasta, jak chce duch czasu i jego tinglowi ewangeliści.

Wielkie miasto! Piękny, doniosły, bogaty temat, źródło natchnienia, róg obfitości pomysłów. W krótkim rzucie niepodobna wyliczyć ogromu zagadnień, nieskończonego łańcucha zjawisk, których widownią jest wielkie miasto...

Zola w wielkiem mieście podpatrywał dzieje rodziny Rougon Macquarówt, Hugo kazał się ukrywać Janowi Valjean, ofierze głodu i bezmyślnych praw przed Javertem bohaterem obowiązku, w wielkiem mieście Gorkij odnalazł na przedmieściu asylum „byłych ludzi“, wielkie miasto obrał za arenę zdarzeń roku 1905 Strug w „Dziejach jednego pocisku“. Bywało...

Ten cnoty jakieś wielkiemu przypisywał miastu, ów cierpienia i trudy ludzkiego wielkich miast pogłowia opiewał, inny namiętności ogromne, straszliwe, burzące. Wielcy wówczas tworzyli literaturę i sztukę więc wielkie były ich miast dzieje i przeżycia. Dziś inne czasy!

Wielkość serc i umysłów rozpłynęła się na miljony „żołędzich miseczek“. Dziś każdy czuje się powołany do tworzenia rzeczy jeżeli nie wielkich to nowych. A że, nie widząc wokół prawdziwych olbrzymów, zmienił skalę, tedy tworzy... fotomontaże z nóżek i trains de luxe'ów.

Bo i cóż ma tworzyć innego? Konopnicka umiała wprawdzie w jakiejś piwnicznej izbie odnaleść konającego Stacha, Żeromski klan Judymowy w wynaturzającej nędzy proletarjackiego podwórka, Or-Ot jakieś tam staromiejskie wspomnienia-mary z czasów Honoratki czy księcia Erywańskiego, ale oni szukali. Dziś się nie szuka.

Bo i pocóż? Do spraw zdrowia suchotniczych Stachów jest odpowiedni departament w Ministerjum Spraw Wewnętrznych, do zawodowych bolączek pracowników fabryki cygar czy „giserni“ Kasy Chorych i Ministerstwo Pracy, do spraw przestępnych namiętności—sądy, a staromiejskie wspomnienia... — przedewszystkiem są wogóle niepotrzebne, zresztą jest od tego właśnie Or-Ot i Gembarzewski, a jak ci pomrą, zostaną na zawsze skasowane.

Dziś wielkie miasto jest znacznie ciekawsze, zabawniejsze, weselsze: o fizjonomji jego mówią przecież kabarety, revuetki

Quiproqua, girlsy, jazz band, murzyni, stadjony, radjo i „ekipy' i wiele, bardzo wiele rzeczowych i pojęciowych wesołych miasteczek. Dziś niema przecież powodu do roztkliwiania się nad nędzą piwnicznych izb, smrodliwych podwórek, gdzie pracują współczesne Zeliki, biadania nad moralnością zaułków, bo... tego wszystkiego nie widać z poza kabaretowych dekoracyj i nie słychać poprzez skowyt jazz bandu.

Dziś literatura wszelkiego autoramentu wolna jest od wszelkiej przykrej służby. Tedy i kino, doniedawna jeszcze zbyt ewangeliczne i literackie, nowe podchwytuje hasło.

Ot jak dziś pracować i tworzyć będzie: w tym samym numerze kurjera filmowego jest i werbalna recepta... W zamieszczonym obok fotomontażu artykuliku zapowiada niepodpisany reporterzyna, że oto właśnie i w Polsce ukaże się niebawem nowy gatunek filmu — tak zwany eksperymentalny. Film ten, głosi z widoczną satysfakcją autor wzmianki — nie będzie posiadał już żadnej treści, aby nie nużyć widza śledzeniem jakiejś niepotrzebnej fabuły. Będzie to „szereg luźnie ze sobą związanych obrazków"... Zapewne fotomontaży. Girlsy, auta, sikawki, policjanci, Buster Keaton w tańcu Salome, trains de luxe'y i t. p.

Jedno na drugiem, jedno w drugiem, jedno przez drugie — w ruchu, w pogoni — szybko dziarsko, wesoło — bez fabuły i treści, bez myśli i sensu, aby lżej, aby lekko i bez zmartwień biegło życie przed się jak wielkomiejski „milutki esik" z narcyzem w butonierce.

M. Ocioszyński

Krytyka teatralna.

Jeden z wybitnych aktorów polskich wyraził się kiedyś, że w ciągu swej długoletniej pracy w teatrze nie nauczył się niczego od krytyki. Znamienne to zdanie zmusić powinno każdego, kto z tej, czy tamtej strony interesuje się teatrem, do zastanowienia się nad istotą i celem krytyki teatralnej.

Spotykamy się często ze zdaniem, że krytyk teatralny powinien znać teatr „od wewnątrz", obserwować pracę inscenizatora, reżysera, aktora i tej całej masy ludzi, tworzących „viribus unitis", widowisko teatralne. Nie przesądzając zgóry słuszności, czy niesłuszności, tego zdania zastanówmy się, czy owa znajomość odwrotnej strony medalu jest celowa. Dla porównania weźmy dzieło malarskie. Czy interesuje nas sposób gruntowania płótna, sposób mieszania barw i wielkość pędzla? — Nie. Interesuje nas skończone dzieło oprawione w ramy. To samo powinno być w stosunku do teatru. Mówić możemy o wartości widowiska, oglądając je wykończone. Do tego dzieła nie do sposobu i środków jego powstawania, powinna ustosunkować się krytyka. Zobaczmy, jak wygląda stosunek naszej krytyki do Teatru, jak wygląda dzisiejsza recenzja. Przeważnie poświęca się większość miejsca ocenie samej sztuki, a dopiero na szarym końcu, w kilku zdawkowych komunałach mówi się o reżyserze i aktorze. Czy pierwszeństwo należy się ocenie sztuki, czy ocenie aktora? Przecież aktor, nie autor, tworzy widowisko teatralne, tylko aktor wytwarza między sceną, a widownią tę specyficzną atmosferę nazwaną magją teatralną. Owa magja teatralna, to stan skomplikowany, mający dużo wspólnego z iluzją, estetyką i nawet sugestją. Zmusza ona (magja) widza niejako do przeżywania „nierzeczywistej rzeczywistości dramatycznej".

Wróćmy po tej dygresji do tematu, bo do stosunku wzajemnego aktora i widza powrócimy w innym czasie. Jak więc wynika, pierwszeństwo należy się aktorowi. Dzieło aktora jest, zaryzykuję określenie, choć czuję gromy ze strony pp. autorów, którzy ten artykuł przypadkiem przeczytają, tylko kanwą na której haftuje swą sztukę aktor.

Stosunek krytyka do aktora jest zwykle dwojako krańcowy: albo pisze się o nim samemi superlatywami, że był doskonały, świetny, stworzył kreację i. t. d. albo też aktor ten jest zawsze słaby, role wypadają blado, czuł się nieswojo i.t.d. Rzadko jednak ocena ta jest objektywna, bo nietylko, że uzależniona (niestety bardzo często) od sympatji, czy innych wpływów, ale też i od stosunku krytyka do charakteru roli samej, — a nigdy niema uzasadnienia dlaczego dany aktor (ka) był dobry lub zły. I tu naprawdę rozumiemy przytoczone na wstępie zdanie aktora, który niczego nie nauczył się od krytyki.

Należy wskazać aktorowi, z jakich względów rola była źle zagrana, co w całości jej przemyślenia było błędne, a czego brakowało. Wtedy aktor czegoś się od krytyki nauczy i wtedy będzie temu krytykowi wdzięczny, w przeciwnym razie aktor, nietylko że nie traktuje recenzji poważnie, ale stosunek jego do krytyki jest wręcz wrogi.

Jeszcze jest jeden ciekawy punkt w tym temacie: stosunek krytyki do młodych aktorów (rek). Zdarza się, że młody aktor (ka) zagra dobrze, nawet doskonale (i to bywa) jakąś rolę. — Krytyk użyje całej masy superlatywów dla wyrażenia swojego uznania i do końca sezonu będzie o danej osobie wypisywał dziesiątki wierszy, mimo, iż tylko owa jedna rola zagrana była dobrze. Krytyk w swej najlepszej wierze żywi przekonanie, że otwiera tem drogę do dalszych sukcesów. Tymczasem dzieje się inaczej, aktor (ka) mniema, że doszedł do doskonałości w swym rozwoju aktorskim i przestaje pracować. Liczy obecnie już tylko na rutynę, której z biegiem lat nabędzie i na laury na scenach stołecznych i zagranicznych, dokąd go przypuszczalnie już w przyszłym roku przez specjalną delegację zaproszą. Kwiaty, bombonierki i listy z uznaniem dopełniają „wieńca wawrzynu" i młody aktor (ka) staje się w przyszłości tylko rzemieślnikiem teatralnym, mającym w zanadrzu kilka typów do dyspozycji, a przestaje być artystą. Przestaje tworzyć.

I po latach, kiedy przyjdzie moment opamiętania się, odczuwa żal do krytyka, który mu drogę do rozwoju zamknął.

Panowie krytycy, nie bądźcie naszymi wrogami, ale nie bądźcie również aniołami opiekuńczymi. Żądamy od was tylko objektywnego, rzeczowego sądu.

Bronisław Horowicz
(Art. dram.)

P. S. Byłbym bardzo rad, gdyby na powyższy temat zechciał zabrać głos ktoś z publiczności teatralnej i poruszył zagadnienie wzajemnego stosunku krytyka i widza teatralnego, który to stosunek ma zabarwienie zupełnie odrębne.

Co słychać na legendarnej wyspie Nipu?

(Korespondencja własna naszego pisma od znakomitego podróżnika i znawcy krain egzotycznych p. Z. — nazwiska na żądanie autora tymczasem nie ujawniamy).

Wyspa Nipu urządzona była wzorowo.

Roiło się na niej od wielkich, małych i mniejszych urzędów. Nieskończona ilość urzędników (na 30 krajowców wypadał 1 urzędnik), ziewała z nudów przy biurkach, smętnie paląc nipuański tytuń monopolowy i grając zapalczywie w „moje — twoje" i w „łapki" (z koleżankami). Inni, gorliwsi, chcąc okazać swą działalność, starali się we wszystkiem przeprowadzać co tydzień „reformy". Wskutek tego zjawiła się bezprzykładna w dziejach świata ilość rozporządzeń, przepisów, okólników, wyjaśnień — z „gwiazdkami" i bez „gwiazdek"; każdy najdrobniejszy szczegół życia nipuańskiego ujęty był w drobiazgowe „rzeczowe" — chytro — mądre przepisy, tak, że obywatel nie potrzebował się już o nic martwić — wszystko było przemyślane, przedystkutowane na tysiącach sesyj konferencyj, które zmierzały do uszczęśliwienia całej wyspy, aż po wierzchołki wyniosłych, strzelających w niebo palm kokosowych.



Zima. — *Rembertowski*

Troskliwość o szczęście krajowców posunięta była do tego stopnia, że specjalne przepisy „regulowały" sposób przyprzęgania osła (wyspa Nipu obfituje w te zwierzęta) z odpowiedniej strony dyszla, sposób mycia podłóg w szkołach i urzędach i t. d.; specjalne rozporządzenie całej Rady Wielkiego Dywanu „regulowało" w 115 paragrafach sposób czyszczenia ustępów, aczkolwiek 1 ustęp przypadał w tym błogosławionym kraju na pół miljona mieszkańców.

Wszystkie te drobiazgowe przepisy tak były skonstruowane językowo i stylowo, żeby nikt nie mógł z tego nic zrozumieć — co było również celowe i wypływało z troskliwości o higjenę pracy umysłowej, a mianowicie: aby obywatel, raz przekonawszy się, że nic nie zrozumie, nie próbował przemęczać swego mózgu.

Miało to i jeszcze inną dobrą stronę.

Obywatel wyspy Nipu, nie orjentując się dokładnie w przepisach, płacił wszystko, co mu kazali, nie wiedział bowiem nigdy, kto ma rację: on — czy urzędnik. Urzędnik zaś, który również dobrze nie wiedział, ile obywatel winien zapłacić (podatki opierały się na „zeznaniach"), „na wszelki wypadek" dodawał mu trochę dla zaokrąglenia.

W związku z tem w wielkich przedsiębiorstwach kokosowych prowadzona była specjalna kokosowa t. zw. „podwójna" buchalterja: jedna dla siebie, druga — dla urzędów podatkowych; na podstawie ostatnich czynione były „uroczyste zeznania" o dochodach.

Wszystko to razem w urzędowym języku nipuańskim nazywało się „ciuciu babką".

Na „ciuciu babce" najgorzej wychodziła klasa t. zw. biduantów (kulisi i urzędnicy), których dochody można było z łatwością sprawdzić.

Rada Wielkiego Dywanu zdawała sobie z tego dokładnie sprawę, bo ilekroć potrzebowała pieniędzy, to podwyższała podatki przedewszystkiem biduantom, albo obniżała im pensje.

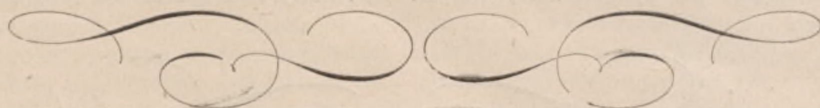
Wszystko to było mądre i głęboko przemyślane, a oparte na mądrych aforyzmach wielkiego maga krajowego — Nipu-Nipu: „Z kamienia nie wyciśniesz; w cytrynie, nawet wyciśniętej, zawsze się znajdzie trochę soku!" W ten sposób z klasy biduantów uczyniono rządowe cytryny.

Mimo to, wszyscy czuli się szczęśliwi, bo kraj ten był pełen coraz to nowych niezwykłych atrakcyj.

Przemyślni krajowcy, dla zabicia czasu wymyślali cochwila różne uroczystości: sprowadzano zwłoki, stawiano pomniki, urządzano wielkie międzynarodowe „rozgrywki" sportowe, święta wielkiego Kokosa, akademje, jubileusze i t. d.

Nie było dnia, żeby nie było jakiejś atrakcji. A wszystko to połączone było z wielkiemi mowami do ludu — wprost i przez megafony — przyczem wytworzyła się specjalna kasta fachowców — megafoniarzy, specjalistów w określonej dziedzinie: jedni np. stale wygłaszali mowy przy sprowadzaniu zwłok, inni — na akademjach.

Zwłaszcza na specjalistów od akademji był wielki popyt: tych nagradzano sowicie różnemi urzędami, nie oglądając się często na ich wykształcenie. W związku z tem na zapytanie, jakie ma wykształcenie dany dygnitarz, odpowiadano: „3 klasy szkoły powszechnej i 6 lat akademji".



Łąki — skowronki

czyli majonez wiosenny.

Polemika z każdym wyrobnikiem literackim, któremu się będzie podobało obrzucić Gontynę stekiem mniej lub więcej płaskich a zgryźliwych konceptów, do zasadniczych ani nawet ubocznych celów pisma nie należy. Stąd też poniższego studjum za artykuł polemiczny, broń Boże, poczytywać nie trzeba, jest to bowiem jedna z tego rodzaju prac, które w szeregu innych zamierza podjąć Gontyna — „Wystawianie podszewką ku słońcu" pewnych zasad, zbyt ordynarnie rozpartych w naszem życiu kulturalnem, płoszenie różnych podejrzanych indywiduów ze świątyń, do których się chytrze wcisnęli — drogą umniejszania splendoru i sławy, którą sobie przemyślnie usiłują zdobyć.

A ot — przystępujemy do studjum.

W literaturze dziennikarskiej istnieje zdawna miły zwyczaj wprowadzania wiosny na opuszczone przed rokiem dziedziny. Stąd też literaci wszelkiego autoramentu od lutego już przepowiadają sobie zasłyszane w młodości szkolnej (jakże nieraz krótkiej) rymy, z mozołem próbują metafor, kwękają nad wymyślnemi zwrotami, aby przecież wiersz czy proza liryczna okazale i dostojnie wypadła, w należytą aureolę ubierając ich głowy, pospolicie „melonikiem" nakryte. Co z tego wynika — oto przykład.

Wybitny, cieszący się sławą ogólnozagłębiowskiego wieszcza, pracownik z „niwy" dziennikarskiej tak oto „opiał" wiosnę w znanym chyba dobrze okolicznościowym wierszyku pod tytułem „Kwiecień plecień".

Na wstępie wyraża głębokie zwątpienie, czy wśród obecnych „pogód" (licencja poetycka właściwa tylko wybitnym talentom) można wogóle „szaleć, kochać lub mieć humor", które to zwątpienie rzuca barwnie na jasne i pogodne tło „radosnego rumoru", jaki się zwykle czyni na wiosennym progu. Oba te nastroje wiąże przedziwnie wyczutym konsonansem — „progu, pogód", oraz niesłychanie poetycznemi kategorjami „rumor, humor".

W następnej strofie skarży się znękany poeta na dolegliwe „opady", łącząc w tym jednym wyrazie po mistrzowsku naukowość sprawozdań „Pima" z sobie tylko właściwym artyzmem opisu. Obok w świetnej czystopolskiej konstrukcji (accusativus judaicus) zwierza się, iż chciałby właśnie „słoneczną kąpiel", którą niestety wytłumaczyć sobie musi, jako że „bez słońca nie da rady" (kwiecisty zwrot zapożyczony od bardzo zresztą dzielnych podoficerów wojsk linjowych).

Nieco dalej ceniąc sobie wielce dla celów poetyckiego oddziaływania obraz wiosennej lipy, dobiera doń przepiękny o staro-helleńskim smaku rym o..... „Klipie" („lipę, klipę"), dając w ten sposób niejaki prospectus na świat swych wieszczych zainteresowań i przemycając cenną dla zagłębiowskiej młodzieży wskazówkę, gdzie winna, czasu wiosny, szukać godziwej rozrywki.

Gdy tak w kilku jeszcze następnych strofkach użali się na niewdzięczny los człowieka, któremu dzień schodzi na biurze, obiedzie i kinie, w szóstej z rzędu (całość liczy sobie czternaście) pęcznieje z dumy i uciechy, że jednak wśród tych przeciwności ćwierka gdzieś „jak słowik piszący wiersze człowiek" (dosłownie), którem jako jedyny wiosny „okaz" — „ma poezję nie na pokaz".(?)

Czyż nie są to słowa godne marmurów — czyż górniej o swej poezji prawią wieszcze: „...Świeci się pomnik mój pod szklany puław dach...." albo — „...wdarłem się na skałę dumnej Kaliopy.."? Czyż nie jest godzien laurowego wieńca mistrz, któren „o wiosence pisać musi, gdy śnieg kwiat wszelki chce zdusić."?

Nieco dalej upewnia nas rodzimy Petrarka, że „choć mu się w nos wżera pazur chłodu", (jakież to natchnione!) „nęci go lazur i pachną mu łąki" (łąki—skowronki—tego rymu doprawdy nie powstydziłby się nawet Słowacki). Przed myślami zawartemi w paru ostatnich strofach, gdzie autor oświadcza po męsku, „że wiosny sławić nie będzie", bo nędza ludzkich twarzy obryzganych błotem ulic lutnię mu z dłoni wytrąca, należałoby uchylić czoła, gdyby nie literacka nędza wyrażeń, zwrotów, rymów, porównań i wogóle wszystkiego, co stanowi i winno stanowić zewnetrzne oblicze utworu.

Darujcie, ale czterowiersz:

—Choć poezja dziś to nie to:
Ani róża, ani nie bez;
Od kwiatuszków jest poetą
Może sztubak, byle hebes

nie jest chyba poezją. Pomijając trywjalność dobranych dla określenia właściwej poezji antytez (bez, róża, — symbole tego rodzaju spotkać można w poradnikach dobrego tonu czy też zbiorkach listów miłosnych), rytmika w guście — „ani róża ani nie bez" wyraźnie już trąci Środulą czy podbędzińskiemi wałami.

Trudno — „Du sublime au ridicule il n'ya qu'un pas" powiedział kiedyś Napoleon, przy innej co prawda sposobności — aforyzm ten jednak cenną prawdę zawiera, o którejby właśnie winni pamiętać rymotwórcy w guście autora wspomnianego wiersza, klepiący poufale po ramieniu lepszych od siebie i wmawiający w bliźniego swoje poetyckie posłannictwo. To już chyba lepiejby było całkiem zwyczajną prozą podawać do wiadomości publicznej naprawdę godne swego pióra fakty narodzin pięcionożnych cieląt, pieniać się politycznie o kiełbase wyborczą — zresztą pisać, ale „dla śmichu", wiersze w rodzaju:

....że kultura, że poezja
Szukaj takiej choć ze „świcą",
Że to piękno, że to sztuka,
Jednem słowem, że „Bóg wi co"

który to artystyczny „wzlot", również pióra tego samego autora jest uważany przezeń za klasyczny wzór „poradnego" wierszyka.

„Nec sutor supra crepidam"

Pomniejszyciel olbrzymów.

SPOTKANIE.

W dzisiejszych czasach ogarnia turystyka coraz to szersze masy społeczne; w ślad za tem następuje jej upadek i wyjałowienie. W ideologję turysty wkrada się szablon i „hochstaplerstwo", znaczy na niej swe piętno snobizm. Na uczęszczanych szlakach górskich natłok i ścisk, hałas nieustający nawet po nocy i może jeszcze tylko w Karpatach Wschod-

nich można znaleść odludne zakątki, bez znaczonych szlaków i schronisk. Ale i tam, nie minie lat wiele, a kolejka elektryczna będzie rozwoz ć wzdłuż Czeremoszu hordy turystów i ostatni ten zakątek padnie jak ostatnia reduta pierwotnego piękna. Ale wczoraj, — w czasach, do których w dzisiejszych wspomnieniach chcę powrócić, było inaczej. Było to przed wielu laty za naszych szkolnych czasów.

Piąty już dzień prowadził nasz szlak północną granicą Siedmiogrodu, która tworzy tutaj potężny, ponad 2300 m. sięgający łańcuch Karpat Rodniańskich. Łączą się one tam z masywem Karpat Bukowińskich i Marmaroskich. Trzy te grupy górskie pokryte są jedynym dzisiaj w Europie środkowej lasem pierwotnym, sięgającym hen ku północy, poprzez Czarnohorę i Gorgany, ku źródłom Lomnicy i Świcy. Nieprzebyte bory ścielą się u stóp granitowych grzbietów lub okalają nieprzerwanem pasmem ciągnące się hale. Tam dziki juhas wypasa stada owiec i stacza nieustanną walkę z panem tamtejszych dziedzin, szarym niedźwiedziem karpackim, mając ku pomocy psy owczarskie, groźne nietylko dla obcego, ale niejednokrotnie dla swego pana.

Na wschodnich krańcach Rodniańskiego pasma stoi na straży potężny siedmioramienny Ineul. Siedem grani bierze z niego początek i siedem dolin zbiega się u jego podnóży. W jednej z nich biją źródła Złotej Bystrzycy. Jest to dolina otwarta ku północy, z trzech innych stron zamknięta zboczami potężnych grzbietów, ubranych w turnie skał wapiennych. W dole szumi wieczyście potok, zboczami — jak nieczłowiek — przemknie się czasem z owcami rumuński juhas, ubrany w skóry. Zresztą nikt tam nie zagląda, chyba wichry północne, które mimo letniej pory bielą od czasu do czasu wierzchołki skał śniegiem.

W tej to dolinie znaleźliśmy się w trójkę u schyłku dnia. Należało pomyśleć o noclegu Parny dzień pozwalał przewidywać nocną ulewę, oglądaliśmy się więc za jakimś odpowiednio nachylonym wykrotem, by swoistym kunsztem inżynierskim przebudować go na „wygodne" schronienie. Wkrótce na małej polance znaleźliśmy nawpół rozwaloną kolibę pasterską.



Nastrój. — *Rembertowski.*

Koliba to cztery mocne kije wbite w ziemię, i piąty poziomo na nich oparty. Do tego szkieletu przytwierdzone łykiem płaty kory świerkowej, dolnym końcem oparte o ziemię, tworzą zarazem dach i ściany. Wchodzi się okrakiem, tem bardziej, że i wewnątrz przyjęcie postawy stojącej grozi wybiciem głową dziury w dachu. Wyjść można i przez ścianę, jedno kopnięcie buta otwiera rozległe horyzonty. Środkiem biegnie palenisko z watrą, duch opiekuńczy turysty, źródło pociechy i ciepła. Watrą nazywa się gruby pień, średnicy przynajmniej 30 cm. Wyżarte w nim przez ogień półkole rozżarzone do czerwoności, obraca się frontem ku sobie i siedzi jak przy kominku, bez swędu i dymu,

Przez umiejętny podział pracy doprowadziliśmy prędko ów lokal do stanu nigdy niewidzianej świetności, tak że około godziny 7-ej każdy z nas mógł udawać, że czuje się jak u siebie w domu. Następnie przydźwigaliśmy z lasu watrę A był to pień zadzierżysty, nie chciał wejść do środka, czepiał się ścian sękami jakby rękami i groził ruiną naszemu przytułkowi. W rezultacie załatwiliśmy sprawę tak, że część watry wystawała na zewnątrz. Zgromadziliśmy jeszcze spory zapas pomniejszych szczap i, gdy pierwsze cienie nadchodzącej nocy padły na polanę, mogliśmy się zająć tem, co najważniejsze. Nie był to obiad, ani podwieczorek, czy kolacja, było to wszystko razem. Koroną wszystkiego miała być herbata. Mówię herbata, ponieważ oprócz popiołu i igliwia było tam jeszcze parę listków herbaty. Los jednak zrządził, żeśmy tej herbaty użyli tego wieczoru w innym zupełnie celu. Wyszedłem właśnie na polanę, by, jak to jest we zwyczaju, przyjrzeć się pierwszym gwiazdom. Dym unosił się ponad kolibą i niebieską smugą wskazywał kierunek jutrzejszego marszu. Bliski skraj lasu zalegały ciemności. I nagle z owych ciemności wyłonił się podłużny olbrzymi cień i zdążał widocznie ku środkowi polany. Jednym susem byłem już w kolibie i ledwie zdążyłem szepnąć towarzyszom: „Coś łazi" — gdy zamajaczyła przy wejściu sylwetka niedźwiedzia.

Żadne ucho nie dosłyszałoby stąpań jego niekształtnych łap, poruszał się cicho, jak zjawa niematerjalna. Stanął tuż przy wystającym końcu watry i, wciągnąwszy nozdrzami zapach bijący z wnętrza, podniósł łeb ku gwiazdom i począł wyć! Nie było to właściwie wycie, raczej śpiew o wysokich tonach, pojękliwy i żałosny. Głupie uczucie ogólnego bezwładu idjotyczna świadomość nie mniej idjotycznego położenia, zupełny brak odpowiedzi na cisnące się natrętnie pytanie: co robić? — to były pierwsze nasze wrażenia. Nie jest to bowiem rzecz błaha spotkać niedźwiedzia bez kółka w nosie, na jego własnych śmieciach.

Po krótkiej chwili, która trwała cośkolwiek dłużej niż całe nasze dotychczasowe życie, ogarnięci jedną myślą, starając się sprawiać jak najmniej hałasu, podłożyliśmy kilka szczap do tlejącego ogniska. Natychmiast strzelił w górę płomień i począł czerwonymi językami lizać dach koliby. Powstało nowe niebezpieczeństwo: od iskier mógł zapalić się „sufit". Położenie było rzeczywiście niesympatyczne, bo w razie zajęcia się dachu, musielibyśmy wyskoczyć na polanę, do czego jednak nikt nie miał zbytniej ochoty. Mieliśmy do wyboru: dać się upiec na pieczyste, lub pozwolić się, zjeść na surowo.

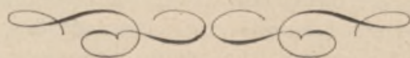
Od czegoż jednak była herbata? Kilka umiejętnych chlapnięć zażegnało niebezpieczeństwo pożaru. Tymczasem „on" zachowywał się tak, jakby nie spostrzegał naszej obecności. Obchodził powoli kolibę wokoło, przystawał w coraz to innem miejscu, delikatnie drapał pazurami po ścianie — to znów zatrzymywał się i śpiewał. Przytuleni do siebie i wpatrzeni z otuchą w trzaskające ognisko, utrzymywanie teraz w przy-

zwoitych rozmiarach, słuchaliśmy jak śpiewak brał tony coraz to wyższe, jak je przytłumiał, wzmacniał i modulował z finezją.

I stała się nasza największa przygoda: oto trzech młokosów, niedorosłych obieżyświatów zrozumiało duszę śpiewaka. Skarżył się na niedolę, od której nikt nie jest wolny, opiewał tęsknotę śpiewał epopeję swego życia — sobie i gwiazdom. Na nikczemne ludzkie plemię nie zwracał uwagi. Czuł się bezpieczny i gdyby nie ogień, zabrałby się przedewszytkiem do naszych plecaków. A myśmy się obawiali jego napaści. Chcieli bronić scyzorykiem, lub kłaść jeden na drugim, by udawać trupy.

Wkońcu śpiew i drapanie ucichło — a trwało to wszystko może pół godziny — kilka kropel deszczu spadło na kolibę. Po chwili ciszy, strudzeni oczekiwaniem napaści, usnęliśmy i spali snem mocnym aż do świtu, póki nas kąsające zimno nie zmusiło do rozdmuchania ogniska. Rano było spokojnie wokoło. Po wczorajszej wizycie pozostały tylko ślady stóp łokciowej prawie długości. Z gorącego śniadania zrezygnowaliśmy, bo nikt z nas nie odważył się zejść do potoku po wodę. Przegryźliśmy kawałkiem suchego chleba i ruszyli ku dołom. Pod wieczór znaleźliśmy się w Borszy, najbliższej wsi, zaś około północy siedzieliśmy już w pociągu, wioząc ludziom z dolin wieści z gór.

Marjan Zając.



ŻAL

(trawestacja).

Smutno mi, Boże, żeś nad mą kołyską
Słowa przeznaczeń ogłosił daremnie,
Bo sława dotąd nie była mi bliską
I drwiła ze mnie.
Więc że już pewnie, chwały nie pomnożę,
Smutno mi, Boże!

Od lat już przecie twory mego ducha
Przed oczy tłumu wynoszę przezornie,
Ale na głos mój społeczność tak głucha
Milczy upornie.
Że pomazanie Twoje starłem może,
Smutno mi, Boże!

Więc też na morzu sztuki zabłąkany,
Z zagasłem sercem i ducha niepomny,
Lżę zpoza węgła rodzime tytany
Krzykiem ogromnym.
Że ich imienia mój klangor nie zmoże,
Smutno mi, Boże!

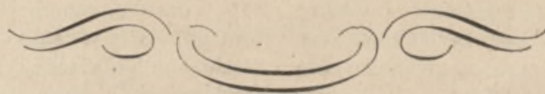
Jak cymbał grzmiący i jak gong brzękliwy
Docieram śmiele do Sztuki źródliska:
Pomnażam „izmy", tworzę „prymitywy"
Zamalowując „syntezą" płótniska
Że jednak czuję, iż Sztuki nie stworzę,
Smutno mi, Boże!

Zbrojny w maxymy nowością wydęte,
Chciałbym wywrócić, co było, na nice,
Ale nie zdzierżę w batalji zaciętej
Przeciwko Styce.
Więc, że nie zdolę tak jak Styka może
Smutno mi Boże!

Na wzniosłą sztukę, którą całe życie
Proroki nasze zwalczają w obłędzie,
Przez wieki ludzkość patrzyła w zachwycie
I patrzeć będzie.
Że taki wyrok mam przyjąć w pokorze,
Smutno mi Boże!

Więc pewnie nigdy do Sztuk Panteonu
Dzieł naszych tłumy nie wniosą radośnie,
A sława nasza w przededniu już zgonu,
Choć w życia wiośnie.
Więc się przed moją nicością ukorzę
Choć smutno, Boże!

Emo.



Cui bono?

Od lat już kilku na łamach znanego organu krakowskiej doktoryzowanej pychy i samochwalstwa ukazują się, lekkie jak umysłowość ich autora, wzmianeczki, bardzo już bogaty cykl stanowiące, pod ogólnym tytułem „Czapka Monomacha".

Są to krótkie, najwyżej kilkudziesięciowierszowe, rozsiane zato po całym numerze i powtarzające się codzień obrazki z życia polskiej „białej północy" — Warszawy i ziem ongiś Królestwo Kongresowe tworzących, naciągnięte, przejaskrawione, przemalowane — o ile niecałkowicie zmyślone (istnieje bowiem dość efektowny i bezpieczny rodzaj reporterskiego łgarstwa, polegający na publikowaniu wyssanych z palca ewenementów, które się potem „lojalnie", a bez głębszej skruchy odwołuje, o ile notabene ktoś się o to mniej lub więcej wyraźnie upomni).

W cennych owych „studjach" przepojonych specyficznym „koncernowym" tupetem, zgryźliwością i, wyzierającą z poza umyślnego zarzekania się bezsilną irytacją, walczy specjalnie w tym celu wynajęty i poinstruowany scriba z buszującym rzekomo po wyż wspomnianych ziemiach „duchem wschodu", tępi ukrytych w „warszawistycznych" (tak się to po literacku w Koncernie nazywa) „stupajków, prystawów i krasawców", żenie na bory i lasy „mongolski biurokratyzm", słowem ofiarnie, krzykliwie i zelancko stacza bój na śmierć i życie z symbolicznym białym niedźwiedziem, który pożarł już całą Kongresówkę i—o, zgrozo! — wyciąga pazury w stronę, gdzie

doniedawna złoty kołnierz niepodzielnie panował, hodując takie kwiatuszki nadpatrjotyzmu, nadpolskości i nadobywatelstwa jak groźnej i łzawej pamięci pan porucznik Śnica, a dziś właśnie obiecujący autor czy autorska gromada separatystów dzielnicowych, okrzykujących się co dnia hasłem: „Hejże! na Warszawę!"

Nie mam w tej chwili zamiaru polemizować z którymkolwiek kawałkiem cytowanej, skandalicznej serji; żaden z nich bowiem ze względu na swoją krecią intencję na to nie zasługuje — chciałbym jednak zapytać — w imię jakich dobrych racji, w jakim celu i dla kogo czyni się to wszystko.

Czy używanie starych rosyjskich etykietek na krople Inoziemcowa, nieczyszczone rynsztoki w Płońsku przychwycenie handlarza fałszywych brylantów na Tłumackiem, kilkumiesięczne krążenie listu pomiędzy Grajewem a Ossowcem itp. itp. to są dostateczne powody aby codnia, z kilkunastu gazeciarskich upustów, niezawodnie, bez przerwy i ulgi, bez pohamowania, bez żalu i wstydu ziała we świat bez miary wylewana nienawiść, by zgeneralizowanem błockiem wymysłów obrzucano wszystko, co miało historyczne nieszczęście powstania na ziemiach „ruskiej Polski" z za Sanu i Wisły?

To natośmy się zrośli po stuleciu niewoli, by teraz poirytowana czemś kongregacja p smaków, korzystając z popularności swego „poczytnego" organu, zatruwała bezkrytyczne mózgi autochtonów Kolbuszowy, Przemyśla czy Horodenki jakimś separatyzmem z pod ciemnej gwiazdy, jakiemś zdziczałem przekonaniem o ohydzie i grozie panujących „w tej Warszawie" stosunków, by podkopywała w masach i tak słabą i nędzną świadomość państwowej i narodowej wspólnoty?

To na to wygrywaliśmy i przegrywali plebiscyty, dlatego dziś tęsknimy za niepołączonym z resztą kraju Śląskiem obu nazw, marzymy o Mazurach czy Gdańsku, aby niepoczytalne „podjadki" kłam owym tęsknotom i wysiłkom zadawały w niekończącej się kolejce coraz to płytszych a coraz napastliwszych gazeciarskich napaści?

Kto zagranicą, kto na owych Mazurach czy w Gdańsku uwierzy w nasze dzielnicowe braterstwo w nasze narodowe i państwowe afekty ku rozłączonym braciom, jeżeli tu na ocalonej już ziemi zażeramy się z pianą na ustach.?

Nie tędy droga! Nie przez wykpiwanie warszawskich hejnałów, nie przez drwiny nad herbowemi pomysłami bohaterskiej stolicy powstań, rewolucji, walki podziemnej i jawnej wywyższa się własne, aby zawsze rzetelne zasługi, nie przez zaciętość i pianę na ustach jednoczy ziemie, brata serca i mózgi!

Czas skończyć z polityką rozkładu i kłótni, zapomnieć cudze, czy własnym się przyjrzeć winom czy błędom, przestać łowić okazje, wyszukiwać namolnie zdarzenia i sprawy godne fejletonu czy złośliwego artykułu, bo za jad polemiczny płacą redakcje groszami, a historja może zapłacić kamieniem.

Jasiołd.



Bery i bojki.

Nie wiem, jakie były założenia i racje, które skłoniły Zarząd Rozgłośni w Katowicach do umieszczenia w stałym niedzielnym programie audycyj, monologów i przypowiastek p. n. „Bery i bojki", choć wiem, że wiele w Polsce włożono wysiłków i trudu około utrwalenia pomników narzeczy i gwar ginących lub zaginionych.

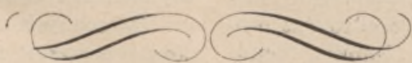
Sądzę jednak, że inną rolę spełnia naukowy badacz, ogłaszający drukiem wyniki swych językoznawczych poszukiwań, czy literat piszący powieść lub nowelę, przeplataną gwarą dzielnicy, w której się jego sprawa rozgrywa, inną zaś radjowy monologista, opowiadający bardzo niewybredne dykteryjki ad usum wielotysięcznej rzeszy słuchaczy. Rzecz napisana zwłaszcza gdy jest podana w cudzysłowach, posiadać będzie zawsze charakter pomnika, zabytku, czy też curiosum a produkcja, żywem natychmiastowem słowem głoszona, charakter mniej lub więcej propagandowy, pobudzający i przekonywujący.

Dlatego też właśnie dziwić się muszę pomysłowi, który urzeczywistnił niedzielne produkcje „Berów i bojków".

Nie mam pretensji do językowego znawstwa nie kwestjonuję zatem wykopaliskowej, że się tak wyrażę, wartości wspomnianych dykteryjek, owszem chętnie się zgodzę z poglądem, iż trzeba potomności przekazać dokumenty wynaradawiającej polityki pruskiej na Śląsku w możliwie wszechstronnem ujęciu, że więc przedewszystkiem przekazać jej trzeba zepsutą, zmaltretowaną, żałosną mowę mieszkańców Katowic, Bytomia czy Król Huty.

Niestety jednak nie mogę się zgodzić z tem, aby właśnie Królhuckim autochtonom mowę ich ukazywać należało w radjowej niedzielnej glorji, nie sądzę bowiem, by w duchowym interesie zespolonego narodu leżało dalsze tej mowy kultywowanie. Niestety, stwierdzić trzeba, że język śląski bardzo jest chory i długo się będzie musiał leczyć ze swej germańskiej choroby, nim się stanie godnym druku czy propagandowych popisów w radjo. Daleki jestem od potępiania ludności śląskiej za ich skażoną mowę polską, dopóki jednak z fali eteru dobiegać nas będą przypowiastki „Gustlików i Karlików" o „Kurtach i Ottonach", wyposażone w bardzo bogatą nomenklaturę niemiecko polską, twierdzić będę, iż dzieje się krzywda językowi polskiemu na Śląsku.

Słuchacz.



TANIEC.

Taniec stał się jedną ze składowych części naszego codziennego życia. Tańczymy u siebie w domu, tańczymy odwiedzając innych, a już najwięcej spotykamy się z tańcem w rożnych lokalach publicznych. Prawie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to, co nazywamy „tańcem", należałoby właściwie nazwać „zabawą w taniec". Ten taniec towarzyski składa się z szeregu rytmicznych kroków, które wykonywane w takt miłej i nie zmuszającej do skupienia muzyki, stanowią przyjemną zabawę ruchową tembardziej ponętną, że niepozbawioną większej czy mniejszej emocji erotycznej.

W kabaretach, czy teatrach spotykamy się z drugim rodzajem tańca, z tak zwanym tańcem rewjowym. Tu już mamy do czynienia z prawdziwą pracą i wysiłkiem wykonawców, dla których jedyną może satysfakcją i przyjemnością pośrednio są oklaski czy głosy uznania, jakiemi obdarza ich publiczność. Ta forma tańca stanowi przejście pomiędzy zabawą ruchową, zwaną tańcem, a właściwą sztuką taneczną.

Nieznaczna kultura taneczna, zupełny brak odpowiedniej propagandy u nas i niski naogół poziom artystyczny tego co często nazywamy sztuką taneczną, sprawiły, że pojęcie tańca pokrywa się u szerokich mas w najlepszym razie z pojęciem baletu o mniej, lub więcej rewjowym kierunku. Jest przytem rzeczą ciekawą, że nie razi nas to nierozróżnianie tych trzech form tańczenia, chociaż oburzalibyśmy się, gdyby ktoś czytelnika gazety obliczonej na szeroki zbyt, stawiał narówni z człowiekiem czytającym przeciętną literaturę i człowiekiem rozczytującym się w wartościowych, a dla mas często niezrozumiałych utworach literackich.

Sztuka taneczna, to taniec wyrażający uczucia przez piękne ruchy ciała człowieka. Precyzja girls trup i wyczyny akrobatyki tanecznej ustępują tu miejsca sile mimiczno-ruchowego wyrazu jednostki, czy grupy, dyskretnemu jej pięknu wewnętrznemu, uzewnętrzniającemu się w prostych, lecz wyraźnych ruchach estetycznych, co stanowi t. zw. psychoplastykę, przemawiającą raczej do uczucia niż do oka widza. Taki taniec podobny jest do muzyki jak bowiem wirtuoz muzyk, posiadający choćby najwyższą technikę, ale niedający odczuć w grze własnej szerokiej skali psychodynamicznej, nie zrobi na nas głębszego wrażenia, tak samo i tancerz prawdy musi mieć przedewszystkiem duszę, a potem technikę.

Największa bowiem umiejętność i wiedza rozbija się o brak wewnętrznego wibrowania, o brak duszy.

Każda myśl jest niewidzialnem napięciem duszy, które stara się spełnić nazewnątrz w wyrazie fizycznym — ruchu. Ale dzisiejszemu człowiekowi nie przychodzi łatwo ta ekspresja. Żyje on w dynamicznych krańcowościach. Trójca: umysł — dusza — ciało stoją często w drastycznym ze sobą konflikcie. Człowiek współczesny nierzadko przedstawia się umysłowo jako bohater, duchowo jako żebrak, a cieleśnie — niewolnik. W parze z pięknem umysłu chodzi tęsknota ducha i cielesna brzydota. To też wbrew namiętnemu pragnieniu harmonji umysł może ciążyć ku n. p. miłości, duch ku nienawiści, a ciało wyrażać walkę.

Te sprzeczności skłaniają człowieka do ukrycia siebie takiego, jakim jest pod maską frazesu. Ale o ile łatwo jest kłamać słowem, bo przecież nie mamy kontroli czy słowo odpowiada myśli i uczucie o tyle trudniej jest kłamać ruchem i gestem, choćby dlatego, że nie panujemy nad odruchami. To też możnaby nawet propagować odkłamywanie człowieka przez budowanie w nim prawdy od strony ciała i ruchu w tym wypadku słowo „prawda" stałaby się nieomal dosłownie — ciałem. W takim ujęciu tkwią już nietylko artystyczne, ale i pedagogiczne wartości sztuki tanecznej.

Ta ekspresja prawdy jest postulatem sztuki tanecznej. Przypominają mi się słowa mojej mistrzyni Mary Wigman, która niezadowolona z tancerki, wyrażającej w kompozycji tanecznej ból, mówiła: „Nie chcę setnego wydania Niobe, proszę o pierwsze wydanie siebie". A więc o odnalezienie siebie — oto misja tak pojętego tańca.

W literaturze często mówi się o oryginalności i szczerości. Oba te pojęcia są pomimo namiętnych dyskusyj dla literatów nieuchwytne i nadal pozostają literacką nieokreślonością. W tańcu oryginalność, szczerość mają jedną nazwę: prawda. Kto bowiem nie tańczy oryginalnie ten kopjuje, czyli kłamie. Szczerość i oryginalność są tu pokrywającemi się pojęciami

Ta prawda tańca jest nieodzownym elementem sztuki tanecznej. Żadna bowiem ze sztuk nie jest tak ściśle związana z osobowością człowieka, jak sztuka taneczna. Laikowi wydaje się często, że istnieje jeden lub wiele szablonów techniki tanecznej, które wystarczy opanować, aby być dobrym tancerzem. Sądzi on, że talent tancerza wyraża się w opanowaniu technicznych trudności. Niewątpliwie opanowanie tych trudności technicznych jest alfą i omegą tańczenia, ale jest tylko tem, czem dla literata n. p. jest umiejętność czytania i pisania. Prócz tych podstaw technicznych istnieje bowiem niejako technika indywidualna, styl taneczny, który odpowiada stylowi literackiemu. O ile zaś w literaturze można dość obficie korzystać z cudzych stylów dla stworzenia wystarczających pozorów własnego oryginalnego stylu, o tyle w tańcu styl własny jest równoznaczny z talentem tancerza.

Reasumując powyższe rozważania możemy powiedzieć: Lubimy taniec i tańczymy, bo jest on dla nas wielką przyjemnością. Oceniamy przytem nawet jego znaczenie socjologiczne. Oklaskujemy taniec rewjowy, bo zaspokaja on przeciętność naszych potrzeb estetycznych i pozwala podziwiać wysiłek i pracę (technikę) wykonawców. Nie rozumiemy jednak głębi sztuki tanecznej. A może najwyższą w niej wartością jest to budowanie prawdy w człowieku od realnej podstawy — od strony ciała.

Otto Finkenstein
artysta baletu kameralnego.

Od Redakcji Gontyny.

W trudnych warunkach podjęliśmy wydawnictwo Gontyny: kryzys gospodarczy, apatja społeczna. Już po wydaniu 1-go numeru ci i owi wystąpili z ostrą krytyką. Gniewano się, że w Sosnowcu ktoś odważa się na redagowanie pisma, podczas gdy miejscowa opinja jest godnie reprezentowana. Słowem, zamknąć Gontynę na kłódkę.

Drugi numer Gontyny miejscowe wielkości literackie przyjęły z perfidną pobłażliwością dopatrując się w zupełnie wyraźnych artykułach wycieczek politycznych. Ktoś z boku powiedział iż tego rodzaju ocena artykułów o charakterze społecznym trąci prowokacją dziennikarską...

Niedość tego. Rozpuszczono wieści na prawo i lewo, że to już ostatni numer Gontyny. Nie wyjdzie, bo wielkości miejscowe tego sobie życzą.

Tymczasem wydajemy numer trzeci. Wydamy i następne. Tego chcemy w zrozumieniu, iż spełniamy obowiązek społeczny w czasie, gdy na terenie naszym myśl i opinja społeczna są mniej, niż skromnie reprezentowane. Liczymy na przełamanie bierności. Sądzimy, że po letnim okresie, niewdzięcznym dla pracy społecznej, na jesieni zdołamy wytworzyć warunki dla współpracy miejscowych organizacyj kulturalnych Zrozumienie i poparcie znajdziemy.

Ciężkie warunki materjalne nie pozwalają nam na wydawanie Gontyny co dwa tygodnie: przekształciliśmy ją tedy na czasopismo.

Mamy prawo oczekiwać współpracy i poparcia od społeczeństwa tem więcej, że Gontyna nie służy żadnym bogom ani z prawa ani z lewa, ani ze środka, lecz — myśli społecznej.

Komunikat Tow. Art.-Liter.

Prosimy o wpłacanie należności za Gontynę i składek członkowskich Tow. Art-Liter. na konto P. K. O. Nr. 307.743 (Redakcja i Administracja czasopisma „Gontyna").

Nowości bibljograficzne.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Dramat w ojczyźnie. Warszawa 1931 r. Cena Zł: 6. -

Generał Lucjan Żeligowski. Wojna w roku 1920 (wspomnienia i rozważania) Warszawa, 1930. Zł: 10.—

Stanisław Wojciechowski. Ruch spółdzielczy. Warszawa, 1931. Zł: 15.—

Konstanty Wojciechowski. Bolesław Prus. Wydanie III. Z podobizną Prusa i słowem wstępnem Józefa Kallenbacha. Lwów 1931. Zł: 3.—

Stanisław hr. Wodzicki. Z ułanami cesarza Maksymiljana w Meksyku. Wspomnienia oficera. Kraków 1931. Zł: 6.80

Maciej Wierzbiński. Malmgrena miłość i koniec. Obrazy z życia bohatera. Warszawa, 1931. Zł: 4. —

Ks. H. Weryński. Nasz stosunek do przyrody i jej ochrony, Kraków, 1931. Zł: 1.—

Wiktor Przecławski. Samotny naród. Powieść. Warszawa, 1931. Zł: 6.—

Feliks Przyjemski. O polski system wychowawczy. Kraków, 1930. Zł: 3.—

A. Hłasko Pawlicowa. Przegląd historyczno-polityczny państw europejskich. Kraków, 1931. Zł: 2,70

Wacław Michniewicz. Literackie tematy syntetyczne. Poznań, 1931. Zł: 1,80

Dr. Oktaw Hlavaty. Samopomoc Polski w krytycznem położeniu gospodarczem. Lwów, 1931 r. Zł: 2.—

Stefan Napierski. Pusta ulica. Warszawa, 1931. Zł: 5.—

Anonimowy autor. Idź złoto do złota (za granicę) my, Polacy, w ostrem (nie) kochamy się żelazie. U źródeł kryzysu.





ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: **Sosnowiec, ul. Legjonów 29, m. 2.**

Wydawca w imieniu Towarzystwa Artystyczno-Literackiego: **BRONISŁAW GÓRECKI.**
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: **MIECZYSŁAW OCIOSZYŃSKI.**

DĄBROWSKO-ŚLĄSKIE ZAKŁADY DRUKARSKIE i WYDAWNICZE Sp. z o. o. w SOSNOWCU.
TELEFON Nr. 1-85.